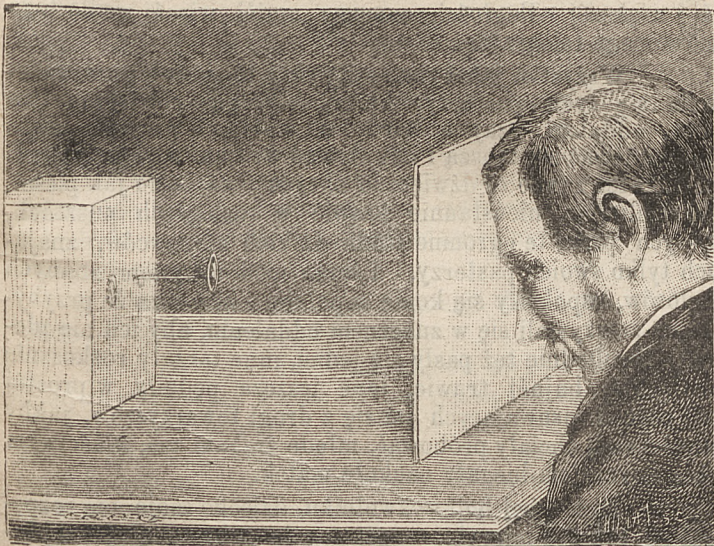


## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



### Doświadczenie fizyczne.

Weźmy pudełko drewniane lub mocne tekturowe, i wtknąwszy weń gwoździe długości mniej więcej 8 centymetrów, umieścimy za pomocą wosku lub laku na główce gwoździa dużą monetę miedzianą, np. dziesięciogroszową. Obok zaś na pudełku, jak wskazuje rycina, przytwierdzimy tak samo drugą monetę znacznie mniejszą, np. sześciogroszową. Siedząc przy stoliku, na którym to pudełko będzie ustawione, rozłożymy przed sobą kawałek tektury, przekłówszy w nim mały otworek, około milimetra średnicy mający. A teraz, patrząc jednym okiem przez otworek, poprosimy drugiej osoby, aby

powoli odsuwała pudełko, zrazu stojące blisko owego tekturowego ekranu. Zrazu oko będzie odróżniało dobrze rozmiary obu monet, lecz w pewnej opległości, od 15 do 25 centymetrów, zależy to od wzroku, obie monety wydadzą się nam zupełnie jednakowe.

Jest to złudzenie optyczne, ztąd pochodzące, że monety znajdują się w niejednakowej odległości od oka, większa jest bliżej, mniejsza dalej, a oko w tych warunkach, przez ten mały otworek przestaje tę różnicę odległości dokładnie oceniać. Przysuwając następnie powoli pudełko, można nawet natrafić na takie miejsce, z którego mniejszy pieniążek wydawać się będzie większy od drugiego.

### DO CZYTELNIKÓW.

Ulegając dochodzącym nas ciągle życzeniom młodych czytelników, ogłaszamy nowy konkurs:

Niech każdy opíše miejscowość w której mieszka, wieś lub miasto; określi w jakiej okolicy kraju się znajduje; jakie jest téj wsi czy tego miasta otoczenie, od wschodu, zachodu, południa i północy; gdzie jest dom mieszkalny piszącego, jak wygląda, jakie są w miejscowości téj wody, lasy i gleba; czy są w ziemi bogactwa mineralne i jakie mianowicie; jaka przeważa roślinność i jakich zwierząt spotyka się najwięcej. Jeżeli miejscowość ta była widownią ważnych zdarzeń historycznych, jeżeli posiada widome pamiątki przeszłości, jak ruiny zamków, pomniki lub kurhany, można je wymienić, jak również przywiązane do nich podania ludowe. Opisanie ubiorów ludu, jest także pożądané. Mieszkańcy miast niechaj wspomną jakie dane miasto posiada fabryki i jakimi wyrobami najwięcej się odznacza.



Nie wszystkie wymienione wyżej opisy są wymagane: kandydaci i kandydatki do konkursu mogą niektóre chociaż opracować, byle dokładnie i starannie.

Spodziewamy się że temat ten będzie miłym dla chcących stanąć do konkursu, miło jest bowiem mówić o tem co się kocha — a któżby nie kochał domu w którym się urodził lub wzrósł, lasu do którego biegał, łąki na której zbierał kwiaty i gonił motyle, i cmentarza którego mogiły kryją kości jego ojców i współbraci? Ktoby nie kochał tego wszystkiego?

Niech kandydaci do konkursu nie silą się na górnolotne wyrażenia i szumne okresy, ale niech opiszą poprostu to na co patrzą codziennie. Te domy, te drzewa, te lasy i wody, toż to ich dobrzy znajomi i przyjaciele—i jeżeli dotąd nie poznali ich dobrze lub mało zważali na nich, to niech teraz z niemi zapoznają się bliżej i opiszą ich zalety i wady. Niech piszą poprostu co myślą, a nadewszystko *bez pomocy starszych*, bo niesumiennie byłoby cudzą pracę podawać za własną — pisząc zaś niech pamiętają, że co jest szczere, niewymuszone i prosto z serca płynie, to drogą najkrótszą do serca czytelnika trafia.

Najlepsze wypracowanie otrzyma w nagrodę książkę p. t. „Doktor Muchołapski”; inne uznane za dobre, odznaczone zostaną pomniejszemi nagrodami lub wzmiankami zaszczytnemi.

Dzień 20-ty Marca oznacza się jako ostateczny termin nadsyłania prac konkursowych.

Dla wiadomości nowo przybyłych prenumeratorów objaśniamy, że pseudonimy autorów wypracowań znajdować się mają w zamkniętych kopertach, a na każdej kopercie wypisany być ma znak, numer, lub wyraz, taki sam jak na wypracowaniu.

Redakcja.

## DO SIOSTRZYCZKI ZAKONNEJ.

Siostro moja, tyś szczęśliwa!

Twoja cicha łódź dopływa

Do przystani już;

Gdzie przyświeca łaski zorza,

Zkąd nie rzucą jej w bezdroża

Wichry ziemskich burz.

O! bezpiecznie w tej przystani,

Zkąd w pokoju ślą wybrani

Przed niebieski tron,

Świętych ofiar poczet długi,

Cichych modłów i zasługi,

Drogocenny plon.

Tam aniołów czyste grono,

Sieje w duszę wyzwoloną

Śnieżnej bieli kwiat,

Co gdy kwitnie u ołtarzy,

Już go tchnieniem nie znieważy,

Samolubny świat!

Tam w ponurą mgłę tęsknoty,

Wsnuje wątek szczerozłoty,

Cichy anioł twój;

A w żywota nowej dobie,

Duch światłości wzbudzi w tobie,

Nowy pociech zdroj.

Droga siostro, idź więc śmiało,

Nam się żalić nie przystało,

Gdy cię woła Bóg:

Łzą błagalną, cicho, święcie,

Za tych, którzy lgną w odmęcie,

Spłacaj Panu dług.

(Dalszy ciąg).

Tymczasem mężczyźni pędzili jak wicher przez pusztę, pochyleni na karki końskie, aby łatwiej powietrze przecinać; to też świszczą koła uszu, tak nieledwie jak kiedy je biczem gwałtownie przecinasz. Konie szalały w pół dzikie zawsze, nawet mimo tej sławnej tresury, jaką na wyścigach w Węgrzech czikosi zdumiewają i zwyciężają najlepszych dzokiejów angielskich. Z rozdętymi chrapami, rozplomionem okiem, ogonem i grzywą rozpuszczonemi na wichry, nietknięte w życiu biczem strzelającym im bezustannie nad głową, niosły tak niezmiernie chyżo i lekko, że jeźdźcom w rozkosznem złudzeniu zdało się, iż pusztą tylko pędzi i leci koło nich kędys w świat, a oni kołyszają się w miejscu, jak ptaki na falach powietrznych.

— A co? strach tobie? — spytał czikos Pal, zawsze z fajką w zębach, nachylony do ucha chłopca, trzymającego konia oburącz za szyję. Zamiast odpowiedzi malec obrócił głowę i spojrzał figlarnie w oczy pytającego.

— To z ciebie może będzie czikos?... — uśmiechnął się Pal. — Stój Wietrzyk! — ostatnie wyrazy odnosiły się do lotnego jak wiatr wierzchowca. Szandor zeskoczył prawie razem z czikosem; towarzysze pośpieszyli za ich przykładem — w odległości kilkudziesięciu kroków pasło się ogromne, niezliczone na pozór stado koni, rozrzuconych po niezmierzonej okiem przestrzeni. Najbliższe zaczęły strzydz uszami na widok gromadki nadbiegających jeźdźców, ale uspokoił je widok znanych im czikosów, stających teraz umyślnie na przedzie i okrzyk przewodniczącego czikosa Pala, okrzyk znaczący mniej więcej:

— Oto jestem! Jak się macie? Co tu słyhać — uspokoił je do reszty. Zaledwie okrzyk ten przebrzmiał, gdy drugi trzeci i dziesiąty takiż sam, odpowiedział nań z mniejszej i większej odległości, znacząc mniej więcej wedle tego umówionego telegrafu:

— Wszystko jak było...—Zwykły to sposób porozumiewania się tych pasterzy, którzy strzegą powierzone im stada, oddaleni wzajem bardzo od siebie, a przytem ciągle porozumiewać się muszą i nawoływać wzajem w razie potrzeby. To też znane te dźwięczne okrzyki, zarówno jak pieśni, rozbrzmiewają nieustannie prawie w rozległych pusztach, zajętych przez te ogromne stada dzikich stepowców, znających tylko swoich pasterzy. I teraz pod wpływem znanych odgłosów, uspokoiły się konie zupełnie, zwłaszcza że przybywający zatrzymali się w znacznem oddaleniu, aby ich nie płoszyć. Swobodnie też pasły się jedne, inne tarzały rozkosznie w miękkiej bujnej trawie, inne jeszcze pędziły w prostej linii pośród usuwających im się z drogi towarzyszy, jakby lotności swęj chciały próbować, młode źrebaki zaś, właściwym sobie zwyczajem biegały naokoło matek.

— Ej hej hej hej! swawolniku, dziecko moje, nie rozpezdaj się tak bez miary!... — ostrzegęła niby rozgłosnem rżeniem bezustannie ta i owa klacz, a rozswawolony wyrostek odpowiadał pędząc:

— I! hi hi hi hi!... co mi tam będzie, matusiu!

— Ej ho ho ho ho!... różgi! różgi na tych malców, co się ciągle płaczą pod nogami poważnym osobom!... — rżały ze wszystkich stron dorosłe rumaki.

— I! hi hi hi hi!... a wyście to nie tak samo w kółko koło matek biegali będąc malcami? — odpowiadali malce.

Wesoły gwar napełniał pusztę. Czikos Pal zdjął uzdę ze swego wierzchowca i dał ją Szandorowi.

— Obierz sobie którego chcesz z tych koników — rzekł a jeżeli dosiędziesz i uzdę mu potrafisz założyć, będzie twój! Już ja z moim panem o to się ułożę, bo mię lubi.

— E, dziecko za słabe!... — mruknął ojciec do Pala, drżąc w duszy i pragnąc aby bez jego wpływu uwolniono chłopca od próby, spojrzał po otaczających.



— Za słabe!... — powtórzył ten i ów, jakby odczuwając niepokój ojca.

— A choćby i siłę miał, to chłopak za mały jest, nie wskoczy przecież na konia! — ktoś się odezwał z uważniejszych; Szandor był istotnie bardzo mały i szczupły nawet na wiek swój.

— Otóż to właśnie! — skwapliwie poparł ojciec a inni potwierdzili. Ale jak na biedę, uwagi te przeznaczone głównie dla Pala, dolatywały również do uszu Szandora, budząc w nim ten niezwykły rodzaj szlachetnego oporu, którego źródłem jest mężka duma:

— Wskoczę! dosiędę! — rzekł stanowczo ale cichym głosem, i wodząc rozgorzałemi nagle oczyma po koniach; uczeplił na sobie uzdę i począł zwolna podchodzić ku nim. Widział on nieraz, jak dorośli czikosi biorą się do rzeczy, chcąc ujeździć rumaka, a z końmi domowemi swego ojca obznajmiony był oddawna, tak, że naprawdę nieledwie wprzódy umiał dobrze na koniu jeździć, niż chodzić; bo na koniu przywykł trzymać się rękami i nogami, gdy chodząc musiał jedynie nogom się powierzać. Wszyscy, nawet ojciec, czując w tej chwili że dziecko nie da się już powstrzymać od próby, znieruchomieli, wstrzymując oddech. Szandor tymczasem, czy to rzeczywiście upatrzywszy sobie jakiegoś konika, czy też zdając się na losy, podchodził zwolna i trochę kręto jak widział że to czynili czikosi.

— O! o! tego kasztanka sobie upatrzył!... zna się na koniu, ale czy skoczy mu na grzbiet! ho ho!... jakim sposobem, taki mały! — szeptał patrzący. Szandor istotnie zdawał się kierować do pięknego kasztanka, który z całą powagą dorosłego tylko co młodzieńca, skubał od niechcienia trawę, rozglądając się jednocześnie w zamyśleniu po bezgranicznym naokół krajobrazie. Nikt z obecnych, zapatrzonych na Szandora i na kasztanka, nie zważał na małego z natury, bardzo młodego lecz dorosłego już karego źrebca, który w napadzie młodzieńczej swawoli tarzał się w trawie, aż wtem nagle, Szandor, kierując się dotąd zwolna i ostrożnie ku kasztankowi, doszedłszy doń, zwrócił się do karego źrebca, podnosząc gwałtownie obie ręce w górę. Na ten nieznanym mu gest, kary przestraszony zerwał się z ziemi jak błyskawica, ale w chwili gdy się zrywał, Szandor znalazł się nagle na jego grzbiecie, ścisnął dzikiego konia nogami, rękami objął za szyję, i leżąc mu na karku, z twarzą utopioną w grzywie, zapomniał o reszcie świata. Wistocie można było zapomnieć, bo kary przelekniony nieznanym acz leciuchnym ciężarem, pomknął nagle tak chyżo w przestrzeń, że bez przesady nieledwie z ptakiem możnaby go porównać.

— Ho ho! doskoczył! trzyma się! dalejże za nim, żeby gdzie nie spadł bez ratunku!

— A no, jeżeli dosiedzi, czikos z niego gotowy! Ho ho! dalej za nim! — tak wołali czikosi pędząc za karym; a pierwszy pędził najdzielniejszy z nich, olbrzymi, niby dowódca nad pasterzami Pal, któremu dopiero teraz nagle wśród tej nawpół dzikięj zabawy przyszło na myśl, że narażał on jedyne dziecko kochających rodziców, którzy prócz tego skarbu nic więcej na świecie nie mieli. Gdy myśl ta przyszła do głowy człowiekowi wpół dzikiemu, a jednak w chrześcijańskich wyrosłemu wyobrażeniach, zadrzał i popędził za dzieckiem, myśląc już teraz tylko o tem, aby je od ciężkiego szwanku uchronić. Ale było to nazbyt już trudno. Rozszalały źrebiec unosił, a dzieciak, węgierski dzieciak co prawda, trzymał go się literalnie rękami i zębami za grzywę... i tak lecieli.

Latać, słowo właściwe jedynie odnośnie do ptaków, nadawało się tu jednak wybornie, ze względu na szaloną chyżość karego źrebca. Żrebiec leciał, dzieciak leżał na jego grzbiecie z twarzą zatopioną w bujnej grzywie. Wszyscy pędzili za nim, co prawdopodobnie podniecało wystraszonego karego. To też niezadługo przystali niektórzy, Pal tylko, a za nim prawdziwi czikosi i ojciec Petöfi na końcu, pędzili ciągle. Kary, czasem zniecierpliwiony wierzgał, skakał, stawał dęba, brakło tylko żeby tarzać się zechciał, i tego właśnie obawiał się ojciec Petöfi, ale koń niema zwyczaju tarza-

niem się pozbywać ciężaru, więc i kary po chwilowych najdzikszych wierzganiach i skokach, puszczał się zawsze na nowo w szalony galop, a dzieciak przyczepiony do jego grzywy, leżał zawsze nieruchomy.

— Eljen! Niech żyje! Urodzony czikos z chłopca! — wołali zdziwieni i zachwyceni pasterze, goniąc rozszalałego rumaka.

— Czy tylko dziecko żyje jeszcze? Może już dawno zmartwiało ze strachu i tylko kurczowo zaciśniętymi rękami trzyma się konia?... — myślał czasem ojciec wstrząsając się z przerażenia. Ale teraz nie było ani sposobu ani czasu radzić.

Pędzono wciąż od paru godzin za karym i szal zawrotny ogarniał już w tym biegu biednego karczmarza, a koń jego acz także dzielny, ustawał na dobre, gdy kary wreszcie upadł zmordowany... Goniący, w mgnieniu oka, ale w milczeniu zeskoczyli z koni, śpiesząc cicho i ostrożnie do leżącego, ojciec chwając się zsiadł także, prawie już pewny niebezpieczeństwa, a wtem zerwał się dzieciak z grzbietu karego, i jedną rączyną trzymając go za grzywę, usiłował założyć mu uzdę... Widział jak to robią pasterze i wszystko robił tak samo.

— Eljen! Eljen! chwata chłopak! — huknęli w uniesieniu czikosi, i kilkanaście prawdziwych wystrzałów z biczków palnęło na wiwat. Pal trzymał już karego za grzywę i pomagał założyć mu uzdę, bo koń drżący ze znużenia wstał zwolna, z wysiłkiem, a dziecko poprostu dosięgnąć mu nie mogło do głowy. Rumak był już zupełnie ujarzmiony, jak to w podobnych razach zwykle bywa, i widocznie osobnym, właściwym sobie zmysłem poznając kto go ujarzmił, ocierał pieśczośliwie głowę o głowę Szandora i jadł z jego ręki chleb, który Pal podał chłopcu. Zdjął potem siodło z własnego wierzchowca i przymocował je na karym, umyślnie każąc sobie pomagać Szandorowi, aby koń czuł ciągle zwyciężcę swego przy sobie. Odzyskawszy właściwą węgierskim gospodarzom powagę, wobec świetnych następstw ryzykownej próby, Petöfi przystąpił do syna.

(d. c. n.)



## CIEKAWA KRÓLOWA.

(LIST Z NEPALU).

— No... no!... tylko się nie podnoś! Jeszcze kilka dni odpoczynku w hamaku lub w lektyce, trochę cierpliwości, a będziesz zdrow i udamy się w dalszą podróż... mówiłem do młodszego chorego brata.

— Ale ja chcę wiedzieć, chcę wiedzieć gdzie jesteśmy!...

— „Chcę”?... mówisz jak trzyletnie dziecko! Czy nie wiesz jeszcze że „chcieć” nie wystarcza na przeprowadzenie naszych zamysłów?... że trzeba jeszcze *módz* i *umieć* ażeby dojść do zamierzonego celu?

— Ale... ależ ja właśnie mogę i umiem...

— A cóż możesz i umiesz?... bo chyba nie wstać i chodzić, po takiej straszliwej gorączce.

— No nie... ale mogę pytać gdzie jesteśmy?...

— Pytać? na to zgoda: otóż jesteśmy obecnie w hołdującemu Anglii królestwie Nepalu, Nepaulu lub Nipalu, położonem w Indyach północnych przedgangesowych, na południowo zachodniej pochyłości Himalayów. Góry tu i wszędzie góry, a wśród tych gór zimno! Południowe tylko i niżej leżące okolice przypominają że jesteśmy ciągle w owych Indyach, które od pierwszych wyobrażeń dziecinnych przywykliśmy uważać za naturalną cieplarnię. Wierz mi że nie masz czego żałować tych dwóch dni, przez które podróżowałeś chory. Nie było nic ciekawego do widzenia.

— A ludzie?

— Nie ciekawi także, jest ich tu podobno około trzech milionów, wyznają religią Buddy, pochodzą z plemion Nirwa-



risów i Parbatijasów. My obecnie znajdujemy się tutaj oto... Kazimierz wskazywał mi punkt na mapie:

— Tutaj!... a my tu po co?... i cóż my tu robimy? czy zbłądziliśmy i zeszedli z naszego kierunku?

— Co, co?... jakto? a więc ty nic nie wiesz? A przecież dwa dni temu zanim puściliśmy się w tę drogę na rozkaz jęj królewskiej mości, rozmawialiśmy o tem i zdawałeś się zupełnie przytomny, sam zgadzałeś się na podróż, zaręczając że ją zniesiesz bez złych następstw, gdy tymczasem ja chciałem koniecznie zatrzymać się dla ciebie... a oto teraz pokazuje się że byłeś już wtedy nieprzytomny, ponieważ nie wiesz o niczem!

— Nic nie pamiętam w istocie!

— A więc słuchaj: Obecnie panująca pod opieką angielską królowa Nepalu, dowiedziawszy się że do królestwa

wysoko na jęj dworze, przecież, znajdując się odkąd żyje pod protekcją Anglików, zna ona tylko Anglików... Zna wprawdzie i innych Europejczyków także, ale... w papierach naszych przetłomaczonych przez tutejszych tłumaczy zaplatało się, że do innęj należymy narodowości i to zaciekało jęj królewską mość, życzy sobie więc koniecznie nas widzieć, zatem, gdy będziesz mógł wstać, przedstawimy się.

— Idę! — rzekłem wstając.

— Cóż znowu. Chcesz sobie szaszkodzić. Jesteś jeszcze chory!

— Byłem; czy zapomniałeś że musimy naszą podróż przyspieszać?

Tak było w istocie, to też Kazimierz nie opierał się dłużej i w dniu następnym, po załatwieniu niezmiernie skrupulatnych formalności, mieliśmy zaszczyt i szczęście ujrzeć królo-



Ciekawa królowa.

jęj przebywają dwaj Europejczycy, zapragnęła koniecznie ich widzieć, otrzymaliśmy przeto rozkaz zbroczenia ogromny kawał z drogi, aż tu do jęj stolicy, zwanęj Katmandao słynnej ze wspaniałych świątyń, ażeby jęj się przedstawić i to natychmiast, pod karą uwięzienia, które mogłoby do nieskończoności przewlec podróż naszą. Ten to wzgląd zdecydował nas na zbroczenie z drogi, pomimo twęj choroby.

— I otóż zbroczyliśmy i chorobę zgubili gdzieś po drodze. Ale cóż z tą królową? Czyś się już przedstawił? Mówisz że jesteśmy w Katmanda, dla czegoż nie idziemy dalej?

— Dla tego przedewszystkiem że w tęg chwili przybywamy tu dopiero, a następnie że ty dotąd bezsilny jesteś i powstać nie możesz, a królowa żąda widzieć nas obu.

— Cóż znowu, czy nie widziała dotąd Europejczyków?

— Otóż widzisz w tem jest cała komedia i przyczyna naszego przymusowego zbroczenia z wytkniętęj drogi, które w dodatku mogło cię życie kosztować. Obecnie panująca królowa Nepalu ma być bardzo młodą panienką, zatem, pomimo że oświata wedle tutejszych wyobrażeń stoi niezmiernie

wę. Była to istotnie bardzo młoda osoba i to tłumaczyło jęj ciekawość widzenia nas. Zdawało się nam zresztą, że jęj więcej o to chodziło żeby być podziwianą przez obcych ludzi, jak żeby ich widzieć samych.

Wprowadzono nas do paradnych apartamentów, pozwolono nam przystąpić do tego królewskiego majestatu, wedle wszelkich form wschodnięj czołobitności. Po chwili rozmowy przez tłumacza, królowa wielce łaskawie, (a nawet z błyszczącemi radością oczkami) pozwoliła mi odrysować swą podobiznę w otoczeniu dworu, pod warunkiem, że zostawię jęj taki jeden „obrazek”. Otóż drugi wam posyłam. Ale niestety nie uwydatni on tych dziwaczych i śmiesznych strojów na wpół wschodnich a na wpół europejskich pochodzenia równie jak cudnego blasku bezcennych klejnotów, któremi obsypaną była królowa. Szeroka spódnica jęj sukni podniesiona z tyłu i z boków, rozpostarta na poręczach przedstawiającej tron sofy, na której siedziała, odróżniała się od innych na wpół przewiązanych tak iż okręcały nóżki dam dworskich, które je nosiły, nóżki niekiedy bosc, jak to widzicie na obrazku;

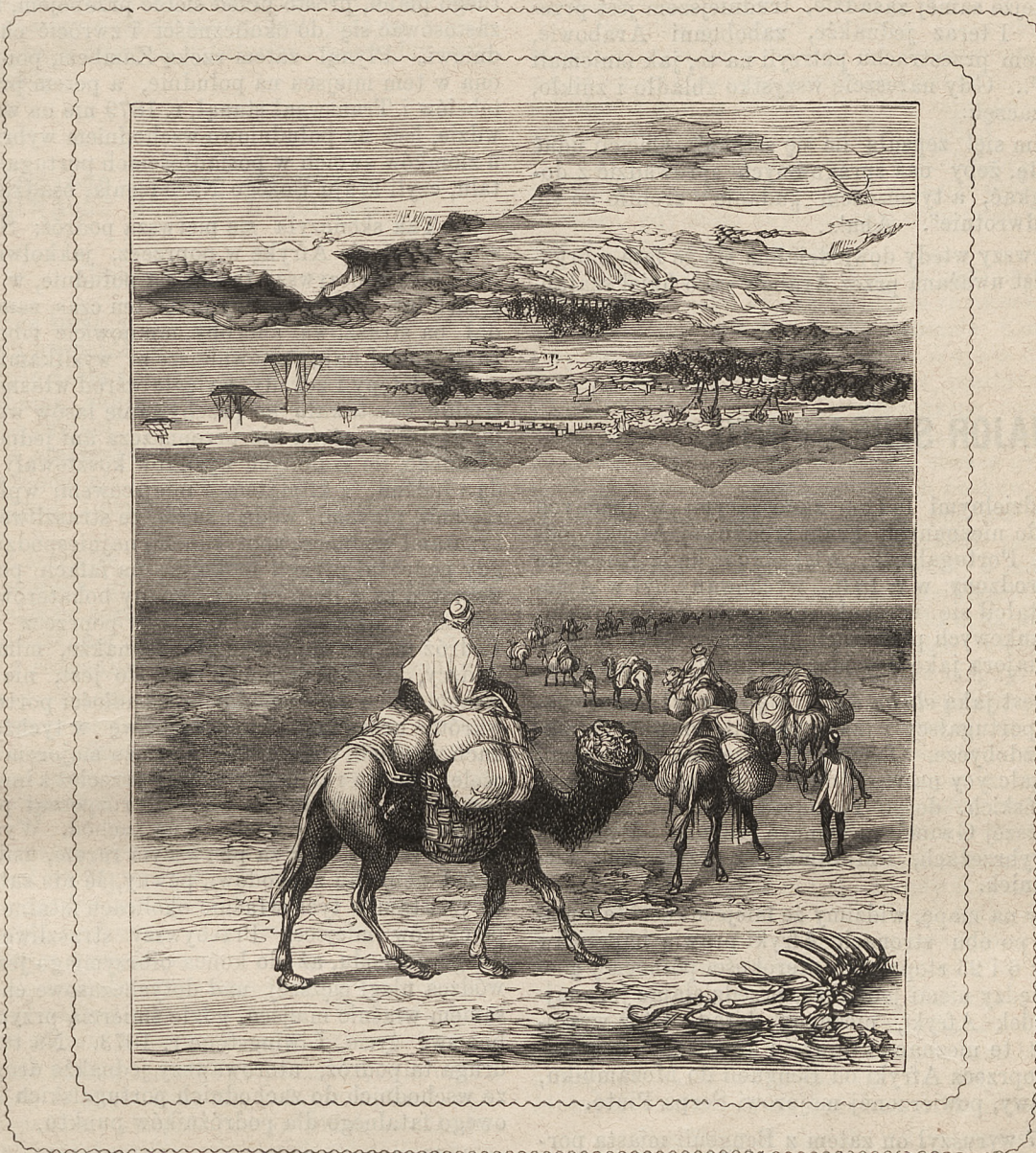


kwiecista korona w kształcie wieńca, przyozdabiająca królewskie czoło, składała się także z drogich kamieni.

Rysunek który wam posyłam, przedstawiający prócz królowej „damy” trzymające „baldachim” „wachlarze” i inne niezliczone a nieodzowne w tym rodzaju przybory wschodniej wygody, jest zresztą drobiazgowo dokładny.

*Zdzisław M.*

nim, a pierwszego zaledwo dojrzeć już mogłem, nikańcego w przestrzeni zalanej złotem światłem, bez żadnej odmiany, żadnej różnicy jak okiem zajrzeć. Prócz tej jedynej krętej linii naszej karawany, poruszającej się jak wąż niezmierny w tej złoto-żółtej atmosferze, wytworzonej z blasków słonecznych, odbijających się w żółtych bezbrzeżnych rozpalonych piaskach Sahary, nie istniało więcej nic... Upał potężny nastąpił po chłodzie nocnym, chłodzie jakiego nie byłbym spo-



Fata-morgana.

## FATA-MORGANA.

(Urywek z podróży).

Bolesne jęki wielbłądów, właściwe tym zwierzętom przy ładowaniu, ucichły wreszcie tak jak i krzyki Arabów, przeźliwie i bezmierne, zwykłe u najemników, a których celem jest przekonanie płacącego o wielkich ich wysiłkach i okrutnej pracy; ruszyliśmy wreszcie z noclegu i po szalonej wrzawie, nieodłącznej od podobnej chwili, nastąpiła zwolna głęboka pustynna cisza. Wielbłądy w liczbie przeszło dwudziestu kilku, długim sznurem wyciągnęły się, idąc krętą smugą, przebywaną od wieków przez ich poprzedników, znaczoną tu i owdzie szkieletami zwierząt i ludzi. Ja jechałem na ostat-

dziewał się tutaj; i zwolna upał ten wznagał się. Atmosfera rozpalonego pieca ogarniała mię, żółta barwa otaczająca, jednoczyła się ze mną niejako, przenikając mię, wkrótce własny mój burnus biały, stał się najzupełniej żółty w moich oczach, jechałem trochę nieprzytomny ze znużenia, kiwając się między pakunkami. Wtedy to, wiodąc raz jeszcze senem okiem po wydłużonej przedemną karawanie, ujrzałem że wszyscy Arabowie wpatrywali się w niebo, spojrzałem więc beźmyślnie w tym kierunku i spostrzegłem zjawisko, o którym wszyscy słyszymy tak wiele: fata-morgana, złudę. Na ten raz widok jakkolwiek dokładny i ludzający rzeczywistością zarysów, nie mógł nikogo złudzić ani na chwilę, gdyż był „odwrotny”, to jest ukazywał się nie na ziemi, lecz w powietrzu i odwrócony. Był to wyraźny widok jakiegoś mor-



skiego wybrzeża w podzwrotnikowej okolicy; palmy wierzchołkami na dół stroiły łąd, kilka okrętów, masztami i kominami w dół, płynęło spokojnie po szerokim wód przestworzu, miasto o płaskich dachach ukazywało się wyraziście w oddali, na tle wspaniałych gór...

Zjawisko, tak odwrotnie się ukazujące, miało tę dobrą stronę, że łatwiej dawało się wytłómaczyć, jako obraz odległej jakiejś krainy, odbijający się w wyższych przezczystych warstwach tutejszego rozpalonego powietrza, tak jakby w zwierciadle... Gdy złuda ukazuje się „na ziemi” jakkolwiek dzieje się to na teźe samej zasadzie, trudniejszym jest przecieć do pojęcia. I teraz jednakże, zabobonni Arabowie, w milczeniu pełnym przestrachu patrzyli na te, jak mniemali „figle szatańskie”... Gdy nareszcie wszystko zbladło i znikło, dopiero szeptać zaczęli:

Nie udało im się! zepsuła im się sztuka! Chcieli udać taką śliczną wodę, żeby nas spragnionych sprowadzić z dobrej drogi i zbłąkać, a tymczasem „udanie” zrobiło im się w powietrzu i „odwrotnie”. Aha!...

Po raz pierwszy wtedy dowiedziałem się że fata-morgana „odwrotna” jest uważana przez Arabów jako figiel szatański nieudatny...

## MAJOR SERPA PINTO.

Pomiędzy dzielnymi ludźmi zanoszącymi w obecnych czasach oświatę do nieznanych krain środkowej Afryki, odznacza się także Portugalczyk, Aleksander de la Roche de Serpa Pinto. Urodzony w r. 1846, wychowany był w Ameryce, poczem kształcił się w szkole wojskowej w Portugalii, zkad, po kilku naukowych podróżach, wysłany został w roku 1877 w stopniu majora jako dowódzca wyprawy do Afryki.

Wiadomo jest jaką sławą okryli się niegdyś przed wiekami podróżnicy portugalscy i jak znakomite czynili na morzach odkrycia i zdobycze. Obecnie jeszcze, między innymi, dosiadają Portugalczycy na wschodnich i na zachodnich wybrzeżach afrykańskich, dosyć rozciągnęte nadbrzeżne krainy, mianowicie w Niższej Gwinei prowincje Angola i Benguela na zachodnich wybrzeżach, i Mozambik z przyległemi ziemiami na wschodnich.

Sporzawszy na mapę, widzimy że miejscowości te z małą różnicą, leżą po obu stronach Afryki prawie naprzeciw siebie, pomiędzy 6 i 25 stopniami szerokości północnej geograficznej. Pomiędzy niemi jednakże, przedzielając je, znajduje się cały środek Afryki, nieznany dotąd. Otóż wyszukanie drogi przez te nieznane krainy, i urządzenie komunikacji ładem w poprzecz Afryki od Bengueli do Mozambiku, było celem wyprawy, powierzonej majorowi Serpa Pinto.

W roku 1877 wyruszył on zatem z Bengueli miasta portowego nad Atlantykiem, zaopatrzony w obfite bagaże, z licznym zastępem dobranych odpowiednio ludzi. Potrzeba było iść na zachód, prosto przed siebie, a jeżeliby nie zbaczano wcale, to bądźco bądź musiano w końcu zejść do zamierzonego celu, to jest do współziomków osiedlonych w Mozambiku, na przeciwległej stronie Afryki. Cóż, kiedy nie zawsze jest możliwą ta prosta, droga uznana w każdym razie za najlepszą. Serpa Pinto wiedział już nawet z góry niektóre główne punkta, przez które lub koło których miał przechodzić, wiedział że wielka rzeka Zambezi może mu w części ułatwić drogę. Przebył więc Kwilenge, Ngola, Bihe, znalazł nieznane dotąd plemię Kassekwerów, ludzi białych i dosyć łagodnego temperamentu. Dalej, badając rzekę Zambezi i jej dopływy stanął nad górną jej częścią w Lialui. Nie był i to niby kraj zupełnie nieznany, gdyż już znakomity i sławny podróżnik Liwingstone, dziś nieżyjący, był tu w roku 1854. Mimo to dzikie i okrutne plemię Mambundów stanęło na drodze Serpa Pinty, nie chcąc puścić dalej podróżniczej karawany. Nastąpiła krwawa walka. Trudno bo i winię

Mambundów o takie niegościnnie przyjęcie, gdyż nie znając dobrodziejstw oświaty nie mogą ich pragnąć, a lekając się o własne rodziny nie chcą wpuścić do swoich siedzib ludzi nieznanych. Dzicy walczyli tak zajadle i ślepo, że padło ich bardzo dużo, co oczywiście rozżarzyło jeszcze bardziej ich zawziętość. Mimo to zostali zwyciężeni, ale prawie wszyscy najemnicy dźwigający bagaże karawany, przerażeni męztwem dzikich, uciekli, pozostawiając dowódcę w bardzo trudnym położeniu, z garstką towarzyszy wielce zmniejszoną. Wtedy to nie czując się już na siłach, aby iść dalej wedle pierwotnego planu, prosto przed siebie przebojem, musiał dowódzca zastosować się do okoliczności i zwrócić chwilowo ku południowi. Płynął zatem rzeką Zambezi, ponieważ zwraca się ona w tem miejscu na południe, a potem przez siedziby Matibelów i Transwaal stanął, r. 1879 nie na wschodnim wprawdzie, lecz na południowo-wschodnim wybrzeżu Afryki, i nie u ziomek swoich w posiadłościach portugalskich, lecz w Natalu, czyli kraju Bożego Narodzenia, osadzie angielskiej.

Tak skończyła się pierwsza podróż; Serpa Pinto przeszedł w istocie Afrykę w poprzecz, jakkolwiek nie w prostej linii, lecz zbczywszy trochę na południe, w przeciągu blisko trzech lat. Ile tam razy przez ten czas, sam dowódzca zapadał na straszliwe choroby, mianowicie febry miejscowe, ile razy musiał najgwałtowniejszemi wysiłkami energii pokonywać podstępny i zdrady, wyległe wśród własnego otoczenia, ile trudów kosztowało go przebywanie lasów wiecznie ciemnych, bo gestwina górna nie przepuszcza ani jednego promyka słonecznego, ile szalonych wysiłków kosztowały walki z przyrodą i ludźmi, z klimatem i miejscowemi wpływami, ze zwierzętami, płazami, wodą i suszą, ze straszliwemi przepaściami i rzutami wodnemi, spotykaniami najniespodziewaniej w chwili gdy podróżni płynęli spokojnie na falach potężnej Zambezi, wszystko to w dość prosty, godny bohaterów sposób opisane zostało w dziele p. t. „Podróż w poprzecz Afryki” r. 1880. Podróż ta nie doprowadziła jednakże, mimo dzielności dowódcy, do zamierzonego celu, to jest, nie utorowała drogi z zachodnich do wschodnich posiadłości portugalskich, przeto wkrótce urządzono drugą wyprawę w tychże samych warunkach i celach, roku 1885 i z tymże majorem Serpa Pinto na czele. Na ten raz major zaczął przecieć z inną beczką, to jest zamiast z zachodu na wschód, rozpoczął pochod w przeciwnym kierunku, ze wschodu na zachód. Wyruszył z Mozambiku i znowu, jak za pierwszym razem, usiłował iść wprost przed siebie ku zachodowi, pewny, że nie zabłądzi. Cóż, kiedy jest tam w tych właśnie okolicach fatalne jakieś dla Europejczyków miejsce. Przebywszy straszliwe męczarnie trudnego pochodu, aż do końca olbrzymiego jeziora Njassa, dowódzca uległ cięższej nad dotychczasowe chorobie, w temże samem właśnie miejscu, gdzie śmiercią przypieczętował chlubne swe życie Liwingstone r. 1873. Na tem skończyła się druga ta podróż, utorowawszy jednakże drogę przez Afrykę, ze wschodnich do zachodnich portugalskich dziedzin, aż do owego fatalnego dla podróżników punktu.

Następnie, rząd portugalski wysłał znów majora Serpa Pinto, do środka Afryki, w celu zbadania położenia i okoliczności różnych w okolicach rzeki Szyre, płynącej z jeziora Njassy do rzeki Zambezi. W tych to albowiem stronach, po zwiedzeniu ich przez Liwingstone'a, osiedlili się niezbyt dawno Anglicy, zarządzając tam wspólny interes handlowy, co zaniepokoiło Portugalczyków, twierdzących, że krainy owe z niemi raczej niż z Anglikami, stosunki zawierać powinny, ze względu na dawniejsze jeszcze okoliczności.

Poszedł więc po raz trzeci dzielny major Serpa Pinto do środka Afryki nad rzeką Szyre, pobudował tam różne budowle, forty i forteczki, i szukał miejscowości dogodnych do przeprowadzenia kolei żelaznej, potem wsiadłszy na statek parowy, popłynął rzeką Szyre w dół, pozostawiając część towarzyszy, w dotychczasowe zamieszkiwaną miejscowość, pod wodzą pana Castellres. Podczas gdy major zajmował się badaniami, plemię dzikich Makololów napadało na oddział pana Castellres i zmusiło go opuścić zajmowane stanowiska.



Tymczasem major Serpa Pinto, dostawszy się z biegiem rzeki Szyre na fale wielkiej rzeki Zambezi, płynął nią aż do Kwilimane, portu leżącego przy ujściu Zambezi do oceanu Indyjskiego. Tu, dowiedziawszy się co dzieje się z jego ludźmi pozostawionymi w obozie, zabrał trzy parowce i podążył na powrót w górę rzeki, co prędkiej na pomoc swoim, napadniętym przez Makololów, podmówionych ku temu podobno przez Anglików, zazdroszczących Portugalii jej zdobyczy...

Niewiadomo co się tam dalej dzieć będzie, w tej tajemniczej Afryce, która tak żywo jako nieznaną nęci ciekawych, ale to pewna, że major Serpa Pinto dzisiaj już, nie przesądając tego co jeszcze uczynić może, jest jednym z pierwszorzędných i najdzielniejszych bohaterów z pomiędzy europejskich podróżników.

## POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

(Dalszy ciąg).

Wędrowcy nie sami jedni też rozkoszowali się pstrągami. W bagnisku utworzonym z rozlewu strumyka na małej płaszczynie, czaple które tak jak nasze europejskie żywią się przeważnie rybami, zagłębiały długie dzioby na jeszcze dłuższych osadzone szyjach.

— No, już te ptaszyska chyba nie potrzebują troszczyć się aby ogonów w błocie nie powalać! — rzekł Tomek.

— Niewątpliwie; i dla tych to nóg długich zwane są szczudlakami.

— Ponieważ szczudeł użyzca im natura.

W pobliżu miejsca gdzie obozowano, znajdowała się pieczara którą Melchior zaprzagnął zwiedzić.

Była zupełnie ciemna i chłodna jak lodownia. Strumyk wytryskując z rozpadliny skalistej płynął w pośrodku.

— Przed laty—rzecze Piotr—jeden kopacz amerykański szukając złotego piasku, zapuścił się w głąb tej jaskini i zapewne spotkało go jakieś nieszczęście, gdyż nie powrócił nigdy. Powiadają ludzie, że przez długi czas syn jego przychodził tutaj codziennie i wołał ojca, ale odpowiadało mu tylko echo.

Zniknięcie kopacza wydało się bardzo naturalnem Melchiorowi, gdy ujrzał wielką przepaść w skale. Odgłos spadania rzuconego tam kamienia odzywał się przez kilka sekund zanim zginął w głębi bezdennej. Chmury nietoperzy latały naokół z przeraźliwym wrzaskiem.

— Osiedlił się tam straszny puma—rzekł woźnica—ale nikt nigdy nie mógł odkryć jego legowiska. Musi ono znajdować się chyba w którym z bocznych rozgałęzień jaskini.

Melchior miał wielką ochotę go poszukać, ale wążka ścieżka prowadząca w głąb była tak pokryta węzami i jaszczurkami, kłębiącymi się niespokojnie na widok światła pochodni, że bosonodzy Meksykanie nie chcieli iść dalej i uciekli copędzej.

— Patrz kapitanie — zawołał Menito, który znikł jakoś od chwili kilku, a teraz biegł do Melchiora, nosząc coś w pole odzienia. — Patrz!

I rozwierając połę, ukazał kilkoro młodych zwierzątek jeszcze ślepych, wielkości małych pieszków, ale podobnych do kociąt i kręcących się jak liszki.

— Ile wart jest puma? — zapytał woźnicy.

— Około trzech dolarów — odpowiedział Meksykanin.

— A więc kapitanie winien mi jesteś dwanaście dolarów, bo oto masz ich czterech! — wołał chłopczyzna.

— Czterech? jakich czterech?

— Ależ czterech pumów powiadam! Usłyszałem ich piski na uboczu w wąwozie skalnym i szukałem z kwadrans nim znalazłem. W najgorszym razie już dziesięć dolarów warte są z wszelką pewnością hurtem.

— Dziesięć dolarów? A ty, mały łotrze! — krzyknął Daby Simon — to ty zaczynasz oszukiwać tego zacnego se-

nora! Najprzód, gdyby to miały być pumy, toby chyba musiały być bardzo młode, i byłyby w takim razie warte ledwo dwa dolary; prócz tego, to nie są wcale pumy, tylko poprostu młode rysiatka, warte bardzo nie wiele.

— Rysiatka! — wykrzyknął Menito zmartwiony. Któżby zgadł że to nie pumy! Wszakże mają takie same futerka. Zdawało mi się że rys bywa centkowany jak pantera.

— Tak; ale centek dostaje z wiekiem dopiero, w rok we dwa. I pantera także nie jest centkowana w pierwszej młodości i w dzieciństwie, owszem przez kilka lat jest zupełnie szara jak mysz.

Po kilku godzinach pochodu, nazajutrz rano wędrowcy ujrzeni w głębi doliny u stóp ich rozciągniętej, miasto Benyamo otoczone pysznymi ogrodami i winnicami. Właśnie mieli schodzić z gór w dolinę gdy Piotr zaproponował kapitanowi zwiedzenie pewnego „kościółka” w pobliżu.

Jakolwiek główną sprawą Melchiora w podróży było poszukiwanie dzikich zwierząt, przecież nie opuszczał on sposobności, gdy mógł zwiedzić sam co nowego i obznać synowa z czemś godnem widzenia.

„Kościół” tak zwany, była to jaskinia wykuta w skale, która służyła jako świątynia ludom zamieszkującym Meksyk, gdy Hiszpanie pod wodzą Ferdynanda Korteza podbili go i wprowadzili doń chrześcijanizm. Wejście do tej podziemnej świątyni stanowiła obszerna arkada, rzeźbiona jakby odrzwia jakiej katedry, a ściany jej wewnętrzne pokryte były rysunkami tajemniczymi, niemniej fantastycznymi jak chińskie. Jaskinia sama była już właściwie stosem gruzów, zdobywcy obrócili w proch nawet kamiennych bożków, jednakże pewien ogrodnik mieszkający w pobliżu, pokazał wędrowcom kilka posążków, które udało mu się wynaleźć pomiędzy gruzami. Jeden z tych bałwanków miał twarz a raczej usta jak pyszczek u mrówkojada, inny, małe dziwaczne lichy trzymające się pod boki, miał otwór od ucha do ucha wskroś głowy „jak jaki tunel” wedle porównania Tomka. Ogrodnik opowiadał o jeszcze jednym posążku, któremu niegdyś oddawano cześć boską w tejże świątyni: był on wyrobiony z jakiegoś białawego kamienia, który we dnie zdawał się najpospolitszym, ale w nocy nabierał dziwnego blasku i uważany był jako wyobrażenie księżyca. Gdy Hiszpanie zburzyli świątynię, Indianie unieśli z niej ten posąg, który może dotąd odbiera cześć boską w jakiej tajemnej jaskini w górach.

Tomek nie mógł się nadziwić rzeźbom w szczątkach świątyni, gdyż sądził dotąd, że gdy Krzysztof Kolumb wylądował w Świecie nowym, znalazł tam tylko dzikich ludzi, takich jak Czerwonoskórcy w Ameryce północnej, których widział kilka coraz rzadszych egzemplarzy w San-Francisko.

— Mylisz się — powiedział Melchior — przyrównyując starożytnych mieszkańców Meksyku do Czerwonoskórnych. Gdy Hiszpanie kraj tutejszy zdobyli, zastali w nim Azteków, którzy już na 200 lub 300 lat wprzód, zbudowali miasto Meksyk, a ostatnim ich królem był Montezuma.

— Ten który w niewoli u Hiszpanów, dobrowolnie się zagłodził?

— Właśnie ten sam. Guatimozin jego synowiec następcą przedsięwziął wylamać się z pod hiszpańskiego jarzma, i udało mu się nawet wypędzić Ferdynanda Korteza z Meksyku, ale następnie zwyciężony i wzięty został w niewolę...

— Wiem już wiem. Hiszpanie okrutnicy umieścili go wraz z jego pierwszym ministrem na rozpalonych węglach, aby z nich wydobyć tę torturą wyznanie, gdzie ukryli skarby. A gdy minister pod wpływem męczarni, zdawał się błagać swego pana o pozwolenie mówienia, ten mu odpowiedział: „A ja, czyliż na różach jestem?”

— Tak właśnie. Korteza zawstydziwszy się swego okrucieństwa, dał rozkaz zaprzestania męczarni; ale w dwa lata później kazał powiesić nieszczęśliwego księcia, pod pozorem że usiłował uciekać. Tytuł władców meksykańskich ostatnim Aztekom szczęścia nie przyniósł, a i za naszych młody książe austriacki, Maksymilian śmiercią, tenże tytuł przeplacił.



Aztekowie byli następcami Tolteków, pod którymi kraj kwitnął wielką pomysłnością. Znano tu sztukę wyrabiania cienkich tkanin bawełnianych przeróżnych barw, innych z jedwabistej sierści królików, ślicznych wyrobów złotniczych i z szyldkretu, oraz pysznych wyrobów garncarskich. Były tu zbudowane drogi i mosty nad któremi umieli się Hiszpanie, przedarłszy się w głąb kraju. Posiadano też ważne wiadomości matematyczne i astronomiczne; umiano wydobywać metale z kopalń i złoto z rzek, które je unosiły; ale nie znano żelaza.

Najjawniejszym dowodem wysokiego rozwoju umysłowego dawnych Tolteków i Azteków, są gruzy i szczęty ich świątyń. Jest ich wielka obfitość w Meksyku, szczególnie w Stanie Oaksaka, na którego gruncie znajdujemy się właśnie w tej chwili; długo bardzo nie wiadano o nich, gdyż były ukryte w głębi nieprzebranych lasów, zagrzebane pod olbrzymią roślinnością leśną.

Wędrowcy nasi, udając się do Benyamo, przebywali następnie okolicę urozmaiconą mnóstwem jarów, lasków i kęp kolczastych. Pełno tam było dużych królików, za które psy puszczały się w pogoń zapalczywie, ale wkrótce musiały dać jęć za wygraną, gdyż ścigane zwierzęta kryły się w gestwiny kaktusów i fig indyjskich. Poza tą miejscowością, łąki niezmiernie rozciągały się lekko zniżając aż ku miastu. Tomka zdziwiły szczególniejsze młyny obracające się na wiatr. Miały ledwo trzy stopy wysokości i połowa skrzydeł była zabarwiona na jaskrawo-czerwono. Patrząc na nie, zdawało się że ktoś macha to białą, to czerwoną chustką.

— Co to być może? — pytał Tomek.

To są sidła na antylopy — odrzekł Piotr. Antylopy są niezmiernie ciekawe, koniecznie chcą się dowiedzieć co to za nadzwyczajność tak się tam kręci, zbliżając się, aż wpadną w dół przygotowany.

— Jak u nas skowronki dają się chwytac za pomocą zwierciadła. Szkaradna to wada ciekawość! — wygłosił Tomek z przekonaniem.

— Zdałoby mi się z kilka tych antylop — rzekł Melchior — bo to zwierzę nie bardzo jest tu pospolite i musi różnić się trochę od gatunków znajdujących się w Europie Afryce i Azji.

W niejakić jeszcze odległości od Benyamo, myśliwcy zagwizdali na psów, ale dwa tylko odezwały się na zawołanie.

— Jeszcze gonią za królikami — rzekł woźnica, dajny im pokój, wkrótce się zmęczą i same wrócą do nas.

— To nie króliki tak ich zajmują — rzecze Daby Simon. — Słuchajcie to Kasztan szczeka.

— Czy jest tu gruby zwierz w okolicy? — spytał Melchior jakiegoś przechodnia.

— Nie wiele go, ale wasze psy wytropiły brunatnego niedźwiedzia, chociaż trafia się on dość rzadko w tej porze roku.

— Niedźwiedź powiadacie? a daleko?

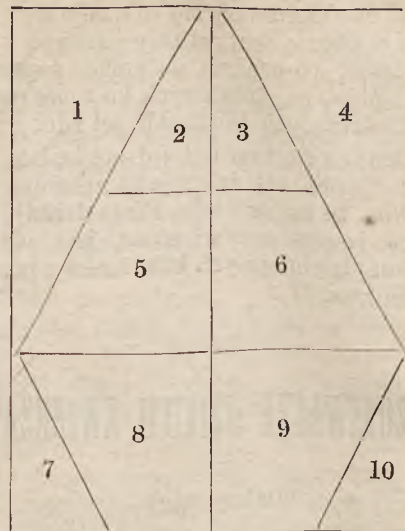
— A ot, tam na drzewie w wąwozie.

— Tak i mnie się zdawało — rzekł Daby Simon. — Niedźwiedź! to zdobycz warta pościgu, jakkolwiek już mamy jednego.

Kapitan był takiegoż samego zdania, skierowano się więc ku wskazanemu miejscu, idąc za głosem psów. Niedźwiedź o połowę mniejszy od uwięzionego na wozie, siedział na gałęzi woskowego drzewa, a psy biegały naokoło szczekając lub wyjąc.

(d. c. n.)

## ZADANIE GEOMETRYCZNE. (Ułożył Pegaz skrzydlaty).



Wykrajac z tekurki 10 części powyższego prostokątne go czworoboku i utworzyć z nich figurę w kształcie piramidy z podstawą.

## SZARADA.

Czytaj mię *wprost* jam zwierzę, w domowym dobytku  
Więcej wyrządzam szkody niż niosę pożytku;  
Czytaj mię *uspał* tom w izbie; choć z piasku lub gliny,  
Tańczą po mnie ochoczo chłopcy i dziewczyny.  
Przestaw moje litery, mieć będziesz pytanie,  
Lecz dalej już nie zmieniaj, bo sensu nie stanie.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 6-go.

### Szarady:

Wil — la — nów.

### Łamigłówki sylabowej:

1. Cyklopi. 2. Anyż. 3. Łowczy. 4. Usiec. 5. Jowisz.  
6. Ać. 7. Cesarz. 8. Ryszard. 9. Aż. 10. Chełmno. 11. Żóraw.  
12. Króliki. 13. Irlandya.

Całując rączki życząc zdrowia.

## PRZEGLĄD PEDAGOGICZNY

zamieszcza praktyczne wskazówki o wychowaniu fizycznym i moralnym, sposoby bawienia i zajmowania dzieci, lekcje wzorowe z różnych działów nauki, wiadomości o nowych podręcznikach do nauki szkolnej i domowej etc.

Kosztuje kwartalnie w Warszawie rs. 1 kop. 50, na prowincyi rs. 1 kop. 75. Przedpłatę przyjmuje księgarznia Gebethnera i Wolffa, tudzież inne księgarnie miejscowe i na prowincyi. 3—3

**TREŚĆ:** Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Od redakcyi. — Do siostrzyczki zakonnej, wiersz. — Pod wpływem błogosławieństwa. (c. d.) — Ciekawa królowna p. Zdzisława M. (z drzew.) — Fata-morgana (z drzew.) — Major Serpa Pinto. — Poszukiwacze dzi- kich zwierząt (c. d.) — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Poczciwy Antos (z drzew.) — Rozsądna Tecią wiersz p. Helenę Bojar- ską. — Przygody Wicusia p. Annę Załęską. — Łamigłówki i rozwiązania — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnasto- letni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.





## Pocziwy Antoś.

— Stój! albo zginesz! ani kroku dalej! Hej! — taki okrzyk dziecinnego głosu rozległ się pewnego poranku, w malowniczej okolicy północnych Włoch. Młody popróżny z teką pod pachą idący swobodnie wśród traw zielonych, stanął i obejrzał się na to wołanie, a tymczasem przybiegł nieznany mały chłopczyzna i odgarnawszy zarośla u stóp jego, ukazał mu przepaść głęboką; podróżny byłby zginął niechybnie, gdyby jeszcze krok dalej postąpił. Uściskał więc małego Antosia, obdarzył go jak mógł, a że był zdruzony i nigdzie w pobliżu nie było oberży, zatem poszedł z nim do jego rodziców, prosząc o gościnność, której udzielono mu chętnie. W nocy gdy wszyscy posnęli, szelest jakiś zbudził podróżnego: to gospodarz wstawał pocichu, szepcząc:

— Poczekaj swawolniku, będziesz mi świecę moją wypalał, dam ja tobie... — u niezamożnego tego wieśniaka świeca była wielkim zbytkiem, jakkolwiek szczątek jej tylko dopalał się w lichtarzu, przy którym to wątpliwem świetle, mały Antoś niezmiernie uważnie coś rysował. Podróżny wstał równie cicho jak gospodarz i wraz z nim zaszedłszy za plecy malca, osłupiał ujrawszy że ten rysował jego samego, stojącego nad przepaścią... a chociaż rysunek niezmiernie wiele pozostawiał do życzenia, jednak uczucie przerażenia tak doskonale było oddane

w twarzy i całej postawie, że znający się na rzeczy młodzieniec, zawołał po chwili:

— Dziecko, tyś chyba artystą i bodaj czy nie rzeźbiarzem raczej!...

— A ty swawolniku, będziesz mi świecę wypalał!... — krzyknął jednocześnie groźnie gospodarz nad uchem rysownikowi — ten nicpoń od rana do nocy bazgrze mi tak po wszystkich ścianach!...

Chłopczyzna zerwał się przestraszony, zaczął przeproszać, a wtem młody podróżny z wesołą pustotą pochwyił go i przytuliwszy do siebie, owinął się wraz, z nim swoim płaszczem i legł napowrót na posłaniu, z którego wstał przed chwilą, broniąc w ten sposób winowajcę przed ojcowskim gniewem. Dusił się przytem od śmiechu a i gospodarzowi śmiać się trochę chciało bo rodzicom zawsze jest miło, gdy ktoś bierze obronę ich dzieci, choćby przeciw nim samym.

Antoś tylko wyrzucał sobie że znowu ojca rozgniewał i po cichu tłómaczył się z tego swemu obrońcy:

— Chciałem narysować to za pamięci, bo jutro pewno już zapomnę jak pan wtedy wyglądał, dla tego rysowałem przy świecy...

— Czekaj dziecko, śpij — odparł nieznajomy — jutro nauczę ja ciebie sztuki wyrażenia tego co cię silnie uderzy, nie mażąc ścian ojcu. Potrafisz nawet wtedy zarobić sobie na kupienie świecy, i przeto gniewać go przestaniesz — dodał jeszcze.

Zaciekawione dziecko nie mogło oka zmrzyć do rana, a nazajutrz podróżny pokazał mu, jak się lepi z odpowiednio przygotowanej gliny małe figurki. Antoś, który małym był jeszcze, a prócz własnej chaty wioski i otaczającej przyrody nic prawie nie widział, krzyknął z podziwienia, pojąwszy o co rzecz idzie i natychmiast zaczął lepić figurki, z których każda lepszą była od poprzedniej, i bardziej naznaczoną piętnem zdolności.

Anegdotkę tę między innymi opowiadają w stronach jego rodzinnych, o wielkim rzeźbiarzu Antonio Canova, który później po wielu innych jeszcze przygodach, i po sumiennej nauce i pracy pod kierunkiem owocnych mistrzów rzeźbiarstwa, sam sławnym został artystą.

## ROZSĄDNA TECIA.

— Jak też twa lalka, Teciu kochana,  
Zawsze czyściutko, ładnie ubrana,  
Masz dla niej tyle różnych sukienek...  
Nie wiem, czy która z naszych panienek •  
Stroi tak lalkę; i moja przecie  
Dosyć jest nowa, kupiona w lecie,  
A już zbrudzona, już się zniszczyła.  
— No, to ja przebiorę.



— O! moja miła!

Tak ci się zdaje, jakże to zrobić?  
Ona ma tylko to, co na sobie,  
W czym ją kupiono, w tem chodzi tylko.  
— To się postaraj, moja Marylko  
By miała jakie nowe ubrania.  
— To niepodobna! odpowie Mania  
Moi rodzice nie są bogaci,  
A za to pewnie dużo się płaci?  
— W sklepach te rzeczy kosztują drogo,  
Lecz czyż panienki same nie mogą  
Uszyć co trzeba, i moja mama  
Nie jest bogata, to też ja sama  
Dla méj lalczki szyję te stroje,  
Wszystko co widzisz, to dzieło moje.  
— Czyż to być może? Teciuniu miła!  
O! jabym tego nie potrafiła,  
Ja szyć nie umiem, — Mania dodała.  
— To się nauczysz, jak będziesz chciała,  
To rzecz nie trudna, gdy masz ochotę,  
Ja ci ułatwię troszkę robotę,  
Zrobisz lalczce i to i owo,  
Będiesz ją miała zawsze jak nową.  
Marylka ścisła rozsądną Tecię,  
Wdzięczna za radę, i teraz przecie  
Ma dla swéj lalki na każdą chwilę,  
Tyle sukienek... ubiorów tyle..  
Bawi się ładnie i jest szczęśliwa  
Że własną pracą już coś zdobywa.

*Helena Bojarska.*

## PRZYGODY WICUSIA.

P. ANNE ZAŁĘSKĄ.

### II.

— Mój Wicusiu, możebyś się pouczył trochę — zaproponowała mama — czy nic nie masz zadanego na jutro?

— Tak jakby nic, bo nie myślę nic dziś robić — odrzekł Wicusz stanowczo.

— A dla czegoż to powzięłaś tak mądre postanowienie? Bardzo jestem ciekawa!

— Ej! mamó, co to warte. Człowiek mozoli się i mozoli nad temi lekcjami, a żadnego z nich pożytku niema.

— Jakto niema?

— Ależ naturalnie, że nie; bo i cóż mamy na jutro? Geografia, brrr... geografiał tyle mnie obchodzi co się dzieje gdzieś w głębokiej Afryce, jak to co na księżycu; podróżnikiem nie będę, a gdybym nawet i zapragnął wybrać się w daleką drogę, to teraz można kupić bilet wprost do miejsca przeznaczenia, i już lokomotywa sama człowieka dostawi; nie potrzeba wiedzieć czy na prawo, czy na lewo droga; tak Adaś mówi. Niemiecki, przecież tego uczyć się nie potrzebuję i nie chcę. Bogu dzięki nie jestem Niemcem, żeby ich językiem szwargotać. Kaligrafia... głupstwolaja i tak ładnie piszę. Historia... co mi tam ciekawego, co się kiedyś działo, żeby mi pan

profesor powiedział, co jutro będzie, to może bym i był ciekawy — także głupstwo. W końcu, no cóż?... arytmetyka, to już najmniej warte ze wszystkiego. Arytmetyka... na groch tyka! ha ha ha! — zaśmiał się z zadowoleniem Wicusz, kontent ze swych wywodów, których Józia słuchała z natężoną uwagą.

— Któż ci tyle niemądrych rzeczy powiedział? — zapytała pani Z.

— Kto, ja sam to sobie powiedziałem, i Kazio to mówił także, i Adaś, a Adaś jest bardzo mądry chłopiec, sam p. inspektor mu to powiedział. Wie mama? że to Adaś wymyślił ten wiersz: arytmetyka, na groch tyka. Pyszne!!...

Pani Z. nie podzielała tego przekonania, więc zaczęła synkowi tłómaczyć wartość pogardzanych przez niego nauk. Wicusz słuchał z początku z niezadowoleniem, później coraz uważniej, bo pomimo zaufania w to, co mówili Kazio i Adaś, czuł, że mama ma rację, to też w końcu przyznał prawo istnienia wszelkim innym naukom, ale z arytmetyką pogodzić się nie mógł. Była to jego słaba strona; więc mruczając ciągle pod nosem dwuwiersz Adasiowej kompozycji, wziął się do odrabiania lekcyi. Gdy wszystkie, prócz jednej, wykończył, była już godzina dziesiąta, ale z zadaniami na ułamki zostawionymi na ostatek, rady sobie dać nie mógł; rzucił więc niecierpliwie brulion, napisawszy w nim wprzód, zamiast rozwiązania, znany nam dwuwiersz.

— Co mi tam — zawołał — choćbym i dostał zły stopień, mnie to wszystko jedno, niech sobie profesor głowę łamie nad zadaniem, ale ja oho! ho! -- i poszedł spać, myśląc, że w ostateczności, gdyby go pan profesor wyrwał, to mu tak zaimponuje owym wierszem, że już nie będzie śmiało go pytać dalej.

### III.

Od czasu owego pamiętnego obiadu, z którym o mało, że się Wicusz nie minął, budzono go wcześniej, żeby się nie spóźniał. Nazajutrz więc rano, nasz uczeń pierwszy znalazł się w klasie. Pusto było zupełnie, tylko ławki porządnie ustawione, zdawały się oczekiwać na przybycie młodzieży, a tablica doskonale wymyta, czarna, połyskująca, zachęcała do kreślenia. Wicusz rozejrzał się dokoła; oczy mu się figlarnie zaiskrzyły:

— Cudowna myśl — szepnął sobie — nikt się nie dowie, że ja to zrobiłem, a co spalę profesora, to spalę — i pochwycił za wiszącą krede i, zmieniając trochę charakter, napisał śmiało dwuwiersz o arytmetyce; poczem wymknął się z klasy — i udało mu się, bo nikogo nie spotkał na drodze.

W kilka minut później zaczęli się koledzy schodzić, rozmawiali przed drzwiami gimnazjalnymi i Wicusz między nich się wniósł, a na pierwszy odgłos dzwonka, wtoczyli się do klasy, każdy pośpiesznie miejsce swe zajmując, bo już i pan profesor wchodził na katedrę.

Pan profesor był to człowiek wielkiej nauki i powagi; wykladał cierpliwie i zrozumiale, dla uczniów był sprawiedliwy ale zarazem surowy i biada temu, który przekroczył rozmyślnie przeciw prawom gimnazjalnym. Wszedłszy, skłonił głowę uczniom na znak powitania



potem założył okulary i spojrzął w około, czy wszystko w porządku.

Nagle drgnął, zmarszczył brwi i głosem piorunującym zawołał:

— Co to za napis na tablicy, który z was śmiał to uczynić?

Wszystkich oczy zwróciły się z przerażeniem ku wskazanemu miejscu. Jeden tylko Wicus, z dziwnym pośpiechem, zaczął wyszukiwać czegoś w swych książkach i w tej pochylonej postawie tak długo wytrwał, że to zwróciło uwagę p. profesora.

— Panowie, który z was to napisał? radzę mi się przyznać, bo inaczej, będzie źle! Wincenty Z. czego tam szukasz pod ławką, podnieś się i powiedz, jeżeli wiesz, kto ten czyn popełnił?

Wicus blady i drżący oczu podnieść nie śmiał, możeby i najchętniej było się przyznać, pomyślał, ale nie! na tę odwagę nigdy się nie zdobędzie. Zginałbym ze wstydu, gdyby się wydało, że ten bezsensowny wiersz ja napisałem.

Tak myślał skruszony po niewczasie grzesznik, a profesor pytał dalej:

— Panowie, kto to uczynił? pytam po raz trzeci.

Cisza zaległa klasę; potrwożeni chłopcy spoglądali jedni na drugich, żaden nic nie wiedział, a bali się wszyscy. Adaś, którego talent poetyczny, został w ten sposób uwieczniony, czerwony jak burak czuł, że chociaż sam nie popełnił tego przestępstwa, wina jednak głównie na nim ciążyła.

Pan profesor usiadł w swem krześle, ale głęboka bruzda pozostała na czole jego dowodziła, że o wypadku nie zapomniął.

— Proszę mi oddać kajety z zadaniami — rzekł powoli, mierząc chłopców badawczo oczyma. Każdy z nich miał przygotowany kajet z arytmetyką; jeden Wicus nie zrobił wczorajszego zadania, nie mógł więc go oddać. Ale gdzież się podziała ta wesoła fantazyja, z którą żartował w duchu z profesorów? oho ho, mówił do siebie wczoraj, siedząc w domu przy swoim stoliku, a teraz całkiem stracił fantazyję.

— Wincenty Z. — rzekł profesor — nie oddałeś mi swego kajetu?

— Proszę pana profesora, ja nie mogłem zrobić tego zadania z ułamkami, próbowałem, próbowałem i nie wychodziło mi, nawet mnie aż głowa rozboleła; ze trzy razy przerobiłem je w brulionie.

— To mi daj brulion, zobaczę w czem była omyłka.

Wicus miał brulion przed sobą, nie było więc nic łatwiejszego, jak wziąć go do ręki i podać panu profesorowi. Czemu nie ruszył się z miejsca? nogi mu w ziemię wrosły, oczy słupem stanęły, a wszystkie dziesięć palców drgały, jakgdyby niemi tryle wygrywał. Profesor widząc te oznaki wielkiego strachu, zbliżył się do ławki. a wzięwszy brulion z pulpitu, zaczął go przeglądać i niestety! bardzo prędko spotkał się z owem fatalnem rozwiązaniem zadania, porównał z napisem na tablicy i rzekł:

— Kiedy nie zrobiłeś zadania z ułamkami, to pójdz i porachuj litery w napisie na tablicy.

Wicus poszedł, nogi się pod nim chwiały a duszę, miał na ramieniu, ale posłusznym być musiał.

— Dwadzieścia jeden, panie profesorze.

— Dobrze; podziel to teraz przez trzy.

To nic trudnego pomyślał Wicus i jeszcze śmielej rzekł:

— Trzy w dwudziestu jeden mieści się siedm razy.

— Bardzo dobrze — rzekł profesor. — Otóż liczba dwadzieścia jeden, to są dla ciebie godziny kozy, a siedm, to znaczą niedziele. Rozwiązanie tego zadania jest, że przez siedm niedziel będziesz tu po nabożeństwie zostawał i przez trzy godziny w kozie zajmiesz się czem zechcesz, chociażby pisaniem wierszy. Teraz możesz iść na miejsce.

(d. c. n.)

## ZAGADKA.

(od Barwinka dla Królowny Elfów).

Pierwsze zaimek, z dwóch liter się składa,  
Drugie stworzenie szkodliwe,  
W końcu litera wypada.  
Wszystko to razem tworzy gad złośliwy,  
Na śpiew, muzykę niezwykle wrażliwy.

## ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

(od Góralki dla Gołąbki pocztowej).

	K	A	
K	.	A	
A	.	K	
	A	R	

Zastąpić kropki literami tak, aby utworzyły 4 wyrazy: Znaczenie wyrazów: 1. Wymiar sprawiedliwości. 2. Bożek. 3. Rzeka w Rosyi. 4. Imię biblijne.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 6-go.

### Łamigłównki sylabowej:

1. Żup. 2. Yeddo. 3. CC. 4. Zambezi. 5. Elegie. 6. Zając. 7. Dach. 8. Rezedy. 9. Obóz. 10. Wilhelm. 11. Idalia. 12. Amen. 13. Idzi.

Życzę zdrowia i pociechy z Mani.

### Rebusa:

Wyszły szydła z worka.

## Skrzynka do listów.

P. Kamiński w Wodzianej. Żądane książki posłano, kosztują wraz z przesyłką rs. 3 kop. 80. Razem z rublem przysyłanym mieliśmy od Pani rs. 9, pozostało przeto od prenumeraty rocznej kop. 20.

Mieciowi z Sosnowej ulicy. Nie idzie wcale o treść tego co będzie napisane na konkurs kaligrafii, tylko o samą kaligrafię.



Trzeba przytem przysłać swój adres dokładny, oraz pseudonym i wiek oznaczyć.

**Kopciusku** drogi, nie wiemy jaką drogą wyprawiłaś posyłkę, bo nie odebraliśmy jęj wcale. Wieczory wysłane, a konkurs już postanowiony.

Z nowym rokiem powiał wiatr jakiś zachęcający do zmiany pseudonymów tak „**Kopciuska**” jak i „**Niebieskie oczki**”, które widać długi czas snem być musiały zamknięte, skoro dopiero teraz przypomniały sobie Kazia: skończył on już uniwersytet od dawna!

**Ułanka** wybornie zrobiła, że się „zachęcić” dała: z wielką przyjemnością witamy ją; nie wiemy tylko czy kwiatek to czy amazonka?

„**Iras**” zmienia także pseudonym? nie przeszkodzi jęj to należeć do konkursu, na „odwagę” do czego nie trudno się przecie zdobyć.

Pseudonym **Pojaty** jest bardzo dobry, a liścik tak serdeczny i miły, że prawdziwą nam sprawił radość. Jeszcze więc jedna miła korespondentka nam przybyła!

Stanie się, jak życzy kochana **Artystka**.

**Łyzwiarzowi** odeskiemu w imieniu biednych serdeczne podziękowanie przesyłamy.

**Cefusza** prosimy o cierpliwość. Nie wiemy jeszcze, czy łami-główka jest dobrą, a najlepsza nawet czekać musi swojej kolei.

Droga **Wróźbiarko szczęścia**, nie dziwimy się teraz zmianie pseudonimu: owszem, pochwalamy delikatność uczuć, która cię do tego skłoniła. Szczęśliwe masz prawdziwie życie, skoro dzień cały schodzi ci przy zajęciu, a zostawia przekonanie, że go użytecznie spędziłaś. Błędów krzyczących nie widzimy, tych które są, pozbędziesz się z łatwością przy coraz większem z czasem czytaniu. Do grona staruszek przechodzisz i latka to już są nie na żarty.

**Halutka S.** oraz **Jaskółka z Czerwonj Rusi** nadesłały dobre rozwiązania.

**Polce z nad Szczary** dziękujemy za obietnicę, której dotrzymanie oszczędzi nam kłopotu.

Nie wiem dla czego się tak stało, **Sarenko z Mazowieckich lasów**, że twoich listów nie umieszczono; ten który obecnie opiece mojej powierzasz, dojdzie osobki dla której przeznaczony, ale na swoje kolej poczekać musisz.

Nową korespondentkę **Rybkę z Hniłopiaty** witam serdecznie wraz z jęj rodzeństwem. Muszę jednak uprzedzić ją o porządkach, których zachowania przetrzeba nasza redakcyja: kto chce korespondować z panienkami, musi liścik do nich zamieszczać na zupełnie osobnej karteczce niż ta, na której pisze czy to do redakcyi, czy do mnie. Potrzebne to dla oszczędzenia czasu osób pracujących w redakcyi, a dla korespondenta łatwe chyba do spamiętania.

Droga **Malinko z Goworowa**, fotografii o którą pytasz, dostać możesz u Twardzickiego na Niecałej. Zadania konikowego wyszukiwać teraz nie można wśród tylu innych; musisz, jagódka poczekać na swoje kolej.

Jakże mi cię żal, biedna **Sosno Polska**, która przeszłaś tak ciężką chorobę! Ma się rozumieć, że skoro tak bardzo sobie życzyś należeć do konkursów, nie tracisz prawa do nich. Za życzenia serdecznie dziękuję tak tobie, jak i Piszczałce z nad Ussy nie tylko w swoim, ale i redakcyi imieniu, oraz wszystkich, którym serdeczne od was słowa najżywszą radość sprawiają.

Ach, **Ostrożko biała**, choć nie jesteś „sławną pisarką” jak ty przecież wybornie umiałaś określić to, co jest najżywszem mojem pragnieniem. Dyskrecyja jest rzeczą bardzo chwalebnią, ale zdaje mi się, kwiatku miły, że jak na teraz ćwicząc się w tój cności dla sprawy to czynisz jedynie.

**Krasnolico** moja, jak ty umiesz chwytać za serce! Odczytała twe słowa z najgłębszem wzruszeniem zawsze was kochająca całym sercem wam oddana **Gołąbka**.

Moja ty **Lobelio** maleńka, więc tak cię ucieszyła nagroda, że aż nie chciałaś w szczęście swoje uwierzyć? Odbierzesz ją niedługo i bardzobym pragnęła, aby ci się podobała. Za życzenia ci dziękuję, a za serdecznego całusa także całusem ci płacę.

Drogi moje **Jutrzenko i Pszeniczko**, nie umiem wam wypowiedzieć, jak mnie rozrzewniły słowa ofierze waszej towarzyszące. Jakżeście cierpieć musieli! Liściki wasze jak wszystkie kolei swojej czekać będą.

**Wesoła Krakowianko** zasłużyłaś na to, aby ci „**Pani**” nie odpowiadziała wcale. Całuje cię tylko siostrzyczka wasza **Gołąbka**, która także i Rajskiemu Jabłuszku przesyła pocałunek, na przeprosiny. Liścik twój, kochanko moja, zarzucił się między inne papiery i dla tego jedynie nie wysyłano ci **Wieczorów**, dla tego także nie odebrałaś dotąd podziękowań, za serdeczne twoje słowa i życzenia, za które wzajemnie płacę.

Więc i tobie, **Poranku majowy** podobał się *Giermek książęcy*? jeden gust mamy... Mylisz się co do nazwiska dobrej pani, ale nie mylisz w przypuszczeniu, że i ona nie lubi ciekawych pytań. Cierpliwość zaś twoja co do zadania konkursowego już więcęć na próbę wystawioną nie będzie.

Zawsze mnie ucieszy widok pisma twego, **Gwiazdko Jerozolimka** zawsze z zajęciem czytam te wyrazy, w których wypowiadasz mi myśli dowodzące, jak poważnie zastanawiasz się nad sobą i obowiązkami swemi. Doprawdy wzór by z ciebie brać można! I ja wiem o tem, że nauka sokratesowa jest jedną z najmędrszych; ale... ty ją widać lepiej i sumienieć stosujesz odemnie.

Mój „ośmioletni” **Stolarzu**, muszę ci się nietylko *szanowną* ale nawet i sędziwą wydawać, skoro z takim respektem do mnie przemawiasz! Odpowiedź nadesłałaś dobrą.

**Błękitna Kokardko**, gdybyś była **Gołąbką**, to nigdybyś się nie odważyła tylu od razu liścików przysyłać do redakcyi. Ja się już nasłuchałam dosyć: „bądź zwięźlejszą, **Gołąbko!** niema miejsca na tak długie korespondencye! nie można całego numeru wypełniać liścikami” A ty sobie, kochaneczko aż tyle od razu przysyłasz! Poczekaj dowiesz się, co to jest „czekać swojej kolei”! Wasza

*Gołąbka.*

Kochane **Żywe Srebro!** Wielką mi radość sprawiło swym listem; wiem że jesteś **Stefcia Pil.**, czemu twe siostry do mnie nie napisały? Czy czytałyście już książki, które wam posłałam? którą ci się najlepiej podobała **Stefciu** droga? Mam nadzieję, że nie porzestaniesz na jednym liście i często będziesz pisywać do mnie. Ściskam cię wraz z **Leonką i Manią.** *Litwinka z nad Szczary.*

Najdroższa **biała Chmurko!** Jak mam ci dziękować za twe miłą odezwę, która mię za serce chwyciła! Powieści, które ci się tak podobały i ja czytałam z wielkiem zajęciem, a obecnie wychodzący „**Szesnaścieletni wojewoda**”, pochłania całą mą uwagę. Mam tylko jednego braciszka o rok młodszego odemnie. Czy będziesz należeć do nowego konkursu? Ściskam cię najserdecznieć, twoj: *Biała Ostróżka.*

Moja ty słodka **Pomadko różowa!** Twój liścik bardzo mnie ucieszył. Widać że nie zapominasz o dawnych przyjaciółkach. Na twe pytania odpowiadam szczerze, że ani muzyka, ani Londyn mię nie zachwyca szczególnie. Ściskam cię serdecznie, *Brzydotka z nad Tamizy.*

Droga **Wiochno z pod Lublina!** Ucieszyłaś nas bardzo wspominając o nas, bo zawsze mamy dla ciebie sympatyę, znając cię nie tylko z „**Wieczorów**”. Będziesz bardzo dobrą, jeżeli napiszesz do nas jako do staruszek. Tymczasem ściskamy cię serdecznie kochające, *Śnieżycy i Krasnolico.*

Drogi: **Halko z Litwy, Kotwico, Stokrotko z nad Stochodu.** Dziękujemy wam serdecznie za miłe liściki. Halko droga donieś nam w jakich stronach mieszkasz i czem się zajmujesz? Jak się bawisz obecnie **Kotwico** i czy pamiętasz nasze miłe wieczorki **Stokrotko z nad Stochodu** sympatyczną jesteś dla nas, lubo mało znamy, donieś nam coś o sobie. Odpiszcie nam drogie przyjacielczki i przyjmijcie serdeczne uściśnienia od kochających w *Śnieżycy i Krasnolico.*

Jestem nową prenumeratorką i witam was moje kochane współczytelniczki; podobają mi się bardzo wasze koresponden- i proszę aby która z was do mnie napisała. Tymczasem pozd- wiam was i obieram sobie pseudonym „**Aki.**”